

Czerwiński, Lucjan

Życie codzienne w Mławie przed I wojną światową

Rocznik Mazowiecki 5, 369-394

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

LUCJAN CZERWIŃSKI

ŻYCIE CODZIENNE W MŁAWIE PRZED I WOJNĄ ŚWIATOWĄ

W popularnej literaturze historycznej traktującej o regionie mławskim stosunkowo mało znajdujemy informacji na temat wyglądu Mławy oraz życia jej mieszkańców w początkach bieżącego stulecia. Aczkolwiek doskonale orientuję się, że to sprawa niełatwa, to jednak podejmuję próbę choć w minimalnym stopniu wypełnienia tej luki, zastrzegając się przy tym, że opierać się będę przeważnie na swoich osobistych spostrzeżeniach i wspomnieniach z lat dziecięcych. A że pamięć często zawodzi, przeto mówić będę tylko o tym, co do czego mam całkowitą pewność, natomiast sprawy może nawet ważniejsze, ale mniej mi znane wprost, pomijając będę milczeniem, pozostawiając głos na te tematy osobom bądź obdarzonym lepszą ode mnie pamięcią, bądź mogącym korzystać ze źródeł dla mnie niedostępnych.

Punktem centralnym miasta zarówno pod względem jego zabudowy, jak i koncentracji życia i handlu był Rynek, zwany do dziś Starym Rynkiem, ze stojącym pośrodku kościołem parafialnym i ratuszem. Kościół przed kilkudziesięciu laty był taki sam jak i obecnie, natomiast ratusz przedstawiał się znacznie skromniej, ograniczał się bowiem tylko do tej części, gdzie jest doń główne wejście. Budynek był, podobnie jak obecnie, jednopiętrowy z dwuspadowym, charakterystycznym dla naszego regionu dachem i wieżą z zegarem. Nad dwudziestoma oknami ratusza widniał zachowany do okresu okupacji hitlerowskiej łaćniński napis, brzmiący w tłumaczeniu polskim, jak następuje: „Za panowania z Bożej łaski Najjaśniejszego Stanisława Augusta Króla Polskiego i Wielkiego Księcia Litewskiego przy poparciu Wielmożnego Adama Feliksa dwóch imion Piotrowicza, Starosty Mławskiego kosztem całego miasta świętego maje-

statu Królestwa Mławy, pilnością i staraniem Szanownego i Sławetnego Stanisława Krokwińskiego — nadwójta mławskiego”. Po czym już po mało widocznej, zachodniej stronie gmachu widniała piękna dewiza Mławy brzmiąca: „Dla biednych i bogatych mieszkańców, jak i przychodniów niech będzie równa sprawiedliwość R. 1789”.

W ratuszu mieściły się biura instytucji dłuższy czas zwanej Magistratem oraz mieszkanie gospodarza miasta, zwanego wówczas również z niemiecka burmistrzem. Do wybuchu I wojny światowej burmistrzem był niejaki Krusiewicz — Polak na służbie rosyjskiej, ale, jak się to nibawem okazało, nie pozbawiony sentymentu dla Mławy a uczuć patriotycznych dla kraju. Świadczy o tym m. in. fakt, że w 1919 r., mimo że nic go już z miastem nie wiązało, przyjechał specjalnie do Mławy, aby z okazji odbywającego się balu, z którego dochód przeznaczony był na cele dobroczynne, złożyć poważniejszą ofiarę na rzecz Akademickiego Koła Mławian.

Urzędników w owym Magistracie pracowało zaledwie kilku, bo i zakres działania władz miejskich był bardzo szczupły. Ograniczał się do utrzymywania w jakim takim porządku brukowanych (zresztą nie zawsze) „kocimi łbami” ulic i gdzieś tam tylko wąskich asfaltowych chodników, do skromnych świadczeń na rzecz początkowych szkół powszechnych, prowadzenia Urzędu Stanu Cywilnego wyznania mojżeszowego i wydawania przepustek do Niemiec, ściślej mówiąc, do Prus Wschodnich. Przepustek tych były dwa rodzaje. Dwutygodniowe wydawano tym, którzy tylko na krótki czas dla odwiedzenia swych rodzin czy po drobne zakupy udawali się do miejscowości nadgranicznych (w pewnym kierunku, np. tylko do Działdowa). Drugi rodzaj — to przepustki 6-miesięczne dla robotników, którzy wyjeżdżali na tzw. „ronkle” lub „saksy”, tj. na roboty rolne do niemieckich majątków ziemskich. Takich ludzi obok wielu trudniących się przemysłem było w owym czasie w Mławie dużo, a zarabiali oni tam nieźle, bo żyjąc wprawdzie w warunkach nędznych przywozili ze sobą tyle, że przy dorabianiu sobie coś niecoś robotami dorywczymi mogli jako tako resztę roku przebiedować.

Jeśli idzie o działalność władz miejskich, to o pieczy nad zdrowiem mieszkańców, o opiece społecznej, o jakiegokolwiek działalności kulturalno-oświatowej oczywiście nie było mowy. Gros dochodów miasta stanowił podatek gruntowy i podymny oraz placowe i rogatkowe, pobierane od przyjeżdżających do miasta po zakupy i dla zbycia własnych produktów rolnych i nabiału mieszkańców okolicznych, a niekiedy nawet i dalej od miasta położonych wiosek.

Dwa razy w tygodniu, mianowicie we wtorki i piątki, odbywały się w mieście targi, a niezależnie od tego dwanaście razy do roku — jarmarki. Terminy tych ostatnich ciekawie były ustalane. Mówiło się i pi-

sało w kalendarzach, że, powiedzmy, siódmy z kolei jarmark mławski odbędzie się w pierwszy wtorek po św. Janie, a znów inny — w ostatni wtorek przed św. Michałem. Targi odbywały się na Rynku, natomiast jarmarki, w zależności od przedmiotów handlu, również na targowiskach, tj. placach nazywanych rynkami: końskim, świńskim lub bydłęcym.

W czasie targów cały Rynek zastawiony był kilkoma rzędami straganów. Na zachodniej i południowej jego stronie w sąsiedztwie tzw. sklepów magistrackich (obecnie stoi tu dobudowana część ratusza) rozlokowały się głównie stragany szewskie, krawieckie, garncarskie, rymarskie, powroźnicze i korkarskie (obuwie drewniane). Na pozostałych częściach Rynku stawiano stragany żywnościowe i owocowo-warzywnicze. Furmanki przyjeżdżające na targi lokowały się tuż przy chodnikach po wszystkich stronach Rynku.

Straganiarze obowiązani byli na rzecz miasta opłacać wspomniane już placowe, względnie postojowe, podobnie zresztą jak i furmanki, które zatrzymały się na Rynku, bo nie zawsze i nie wszystkie mogły ulokować się np. na podwórku jakiegoś swego znajomego — właściciela posesji miejskiej.

Rynek ze wszystkich czterech stron był szczelnie zabudowany. I tak na rogu obecnej ulicy Bolesława Chrobrego stał piętrowy dom, w którym mieściła się restauracja, cukiernia i hotelik Bronisława Orłowskiego. Restauracja ta, a zarazem kawiarnia i piwiarnia była miejscem popołudniowych spotkań piwoszy i miejscowej arystokracji. Na zapleczu tej posesji mieścił się zajazd Tykulszki, gdzie można było znaleźć schronienie dla kilku par koni. Woźnice mogli „od biedy” przenocować razem z końmi bądź, co się rzadziej zdarzało, w izbie, jaką na wszelki wypadek dysponował właściciel zajazdu.

Od tego domu w kierunku ul. Niborskiej stał szereg piętrowych i parterowych budynków, czasami szczytami zwróconych do Rynku. W jednym z nich na I piętrze mieścił się zakład szewski Mikołaja Cybulskiego. Wspominam o tym dlatego, że do zakładu tego wchodziło się dziwnie, bo po schodkach niemal jak po drabinie, wprost z chodnika. W jednym z następnych budynków, dość dużym, bodaj dwupiętrowym, mieścił się tzw. „Zjazd Sędziów Pokoju” — instytucja (oczywiście rosyjska) będąca II instancją dla rozrzuconych po powiecie sądów gminnych, w których obowiązki sędziów sprawowali przeważnie sędziowie społeczni (niefachowi), zazwyczaj właściciele majątków ziemskich. Takimi byli m. in. Krępski z Wieczfni, Stanisław Rzymowski (ojciec b. ministra spraw zagranicznych PRL) z Kuczborka, Puchała (nie pamiętam, skąd) i wielu innych. W tymże domu mieszkała w swoim czasie znana literatka młodzieżowa Zuzanna Morawska, właścicielka folwarczku Żulinek w pobliżu Mławy. Dworek Z. Morawskiej stał vis à vis pomnika, wzniesionego przed

kilkoma laty ku czci poległych w 1939 r. obrońców Mławy, na wzgórku za lasem miejskim przy szosie Niborskiej.

W jednym z dalszych budynków na Rynku mieściła się m. in. piekarnia turecka, obsługiwana przez autentycznych, ubranych w czerwone fezy Turków. Słynęła ona z wypiekanych bułek tzw. kwaśno-słodkich z rodzynkami, które były nie lada przysmakiem dla malusińskich, oraz z bułek żytnich, w które zaopatrywała się miejscowa biedota, bo kosztowały tylko grosz ($1\frac{1}{2}$ kopiejki), podczas gdy normalna bułka pszenna kosztowała kopiejkę. Owe bułki żytnie nazywano „szewcami”, którą to nazwę nadali im piekarze z antypatii do fachu szewskiego, bardzo wówczas, nie tylko zresztą w Mławie, rozpowszechnionego.

Dalej w domach po tej samej stronie Rynku mieściły się restauracje Drojanowskiego („Kulawy”), piwiarnia Bakierowskiego, piekarnia Herolda (specjalność — pierniki) oraz kilka sklepów kolonialnych i spożywczych. Zresztą jeśli idzie o asortyment towarów, to sklepy nie były tak jak dziś podzielone wyraźnie na przemysłowe i spożywcze. Na peryferiach miasta w tym samym sklepie bardzo często można było nabyć zarówno śledzie, jak i smar do wozów, zarówno pieczywo, jak i naftę, zarówno cukierki, jak i nici.

W pobliżu rogu ul. Niborskiej (obecnie Padlewskiego) stał duży 3-piętrowy dom, w którym mieściła się apteka Hildebrandta i duży sklep bławatny Biezuńskiego. Sklep ten zasługuje na uwagę, gdyż od podłogi do sufitu formalnie zawalony był materiałami bławatnymi wszelkich gatunków, od najgorszej tandety do materiałów o najwyższej jakości. Toteż prawie żaden klient, zarówno biedny, jak i zamożny, nie wychodził stamtąd bez zakupu, tym bardziej że właściciel b. często udzielał klientom nawet długoterminowego kredytu. A w ogóle zakupy na kredyt były bardzo rozpowszechnione; nazywało się to „braniem na książeczkę”; kredytowanie opłacało się sprzedawcom, ponieważ procenty od włożonego w interes kapitału wkalkulowywane były w ceny towarów.

Sam róg ul. Niborskiej zabudowany był drewnianymi ruderami, w których mimo skandalicznej wprost ciasnoty znalazło się jeszcze miejsce czy to dla zegarmistrza, czy też dla jakiegoś sklepiku galanteryjnego lub spożywczego.

Posuwając się dalej Rynkiem zgodnie z ruchem słońca, napotykamy na rogu obecnej ul. Nowotki b. stary (mówią o tym pochyłe ściany) dom, który nazywano domem „babci Borowskiej”. Na piętrze mieścił się zakład krawiecki Marcellego Hikierta, a na parterze lokal sklepowy — kółka Mławskiego Stowarzyszenia Spożywców „Spójnia”, które swoją działalność rozpoczęło w 1909 r. i z przerwą w okresie okupacji hitlerowskiej przetrwało do czasów obecnych. Dalej rzucał się w oczy, stojący i obecnie, duży dom z krytymi balkonami, ozdobiony rzeźbami, wybud-

wany przez piekarza Prejsa, ojca straconego w 1919 lub 1920 r. znanego lewicowca Edmunda Prejsa.

Dalsze trzy posesje zachowały się do czasów obecnych bez poważniejszych zmian; po nich następował szereg budynków murowanych aż do rogu obecnej ul. 18 Stycznia. W jednym z tych domów mieścił się skład apteczny i apteka Antoniego Moszczyńskiego, który w latach 1919—1923 piastował stanowisko burmistrza, a w 1920 r. wraz z innymi członkami miejscowego Komitetu Rewolucyjnego oddany był pod sąd wojenny. Z opresji tej zresztą wyszli cało wszyscy oskarżeni z wyjątkiem Sobocińskiego, który poniósł śmierć.

Ciekawe, że w czasie pożaru, jaki miał miejsce w 1906 r. czy 1907, te trzy czy nawet cztery wyżej wspomniane murowane budynki spłonęły, a pożar, który powstał na tyłach narożnego domu od ul. 18 Stycznia, zatrzymał się na drewnianym domku, gdzie mieścił się jeden z większych sklepów galanteryjnych Białka. Złośliwa plotka głosiła, że ów Białek czy też jego żona „postawiła” sporo wódki strażakom, którzy, podchmielwszy sobie, tak energicznie zabrali się do roboty, że pożar ugasiłi. Niewątpliwie okolicznością nie sprzyjającą dalszemu rozszerzaniu się ognia było to, że stojące na tyłach zagrożonych posesji drewniane komórki zostały w porę rozebrane i ogień nie miał się po czym przenieść na sąsiednie budynki.

W narożnym budynku miał sklep kolonialny Rosjanin Baburin. Był to jeden z dwóch rosyjskich kupców, którzy z głębokiej Rosji przybyli do Mławy, być może po to, aby tu zrobić majątek. Niestety, nie udało się to ani jednemu, ani drugiemu, a działalność ich zamarła w okresie I wojny.

Południowa strona Rynku zabudowana była nędznymi budynkami, w których mieszkali i prowadzili sklepy prawie wyłącznie Żydzi. W jednym z tych budynków mieścił się sklep monopolowy, obok którego stałe gromadziły się szumowiny miejskie: złodzieje, pijacy i prostytutki. Na zapleczu tych budynków stały spichrze, magazyny i obrzydliwe brudne oficyny, w których gnieździła się biedota zarówno żydowska, jak i polska.

Po zachodniej stronie Rynku, jeśli wyłączyć pobudowaną niedawno plebanię, stały te same domy, które szczęśliwie przetrwały II wojnę, z tym że dom stojący na rogu ul. Spichrzowej wzniesiony został dopiero w 1906 r. Wspominam o tym dlatego, że podczas kopania fundamentów pod ów dom znaleziony został garnek czy urna z monetami polskimi z czasów Stanisława Augusta. Monet było podobno sporo i zdarzenie to narobiło w mieście dość dużo szumu, bo jakoby niektórzy z pracujących przy tej budowie „mocno się obłowili”. Byłem nawet przypadkowym świadkiem tego wydarzenia. Mianowicie idąc do szkoły zauważyłem grupę ludzi, którzy starali się dosłownie po grzbietach leżących na

ziemi robotników dostać do jakiegoś dołu po północnej stronie placu. Zbliżyłem się i ja do tej grupy i w pewnej chwili zobaczyłem pod nogami jakąś skorupkę. Podniosłem ją, a zauważywszy przyklepione do niej zarzewiałe krążki podobne do monet pobiegłem do szkoły. Ponieważ wskutek dłuższego przebywania na placu budowy spóźniłem się na lekcję, chcąc przed nauczycielem usprawiedliwić swoje spóźnienie, opowiedziałem o przygodzie, a jako dowód okazałem ową podniesioną skorupkę. Nauczyciel zainteresował się znaleziskiem, zabrał je ode mnie i obiecał zwrócić po usunięciu z monet pokrywającej je rdzy. Niestety, okazało się, rdza do tego stopnia przeżarła monety, że pozostały z nich zaledwie bezwartościowe kawałki blaszek.

W spalonym w 1945 r. domu, na miejscu którego pobudowano plebanię, mieścił się Urząd Powiatowy i mieszkał w nim tzw. naczelnik powiatu, najpierw Gorodeckij, a potem Kloppman.

A oto co o pierwszym z nich pisze dr Józef Ostaszewski, znany na tutejszym terenie historyk Mławy i okolicy, m. in. autor broszury wydanej w 1931 r. z okazji 30-lecia „Lutni”.

„Gorodeckij, typowy Rosjanin, łapownik, lecz dobroduszny moskwicz, czuł się na tym stanowisku mocno dzięki protekcji krewnego archiereja w Chełmie. Był dobrze widziany u wyższych władz, rządził się też w Mławie jak prawdziwy satrapa, czyli robił, co chciał. Brał od Żydów łapówki, ale obracał pieniądze na cele towarzyskie i urządzał przyjęcia, chciał jednoczyć towarzystwo i dbał, żeby wszyscy się dobrze bawili...”

A dalej: „Gdy wszystkie źródła wyciągnięcia pieniędzy się wyczerpały chwilowo, posyłał Gorodeckij na plac kogoś z palikami i taśmami i udawał, że coś mierzy. Wówczas zawsze ciekawi Żydzi zaraz zainteresowali się, co to będzie, a on im odpowiadał, że przynosi targi z Rynku na inne miejsce. Żydzi składali 200—300 rubli, mierniczy przerywał komedię i targi pozostawały tam, gdzie są dzisiaj. Gorodeckij nie był zawziętym polakożercą. Owszem, po swojemu uważał się za przyjaciela Polaków. Chciał rusyfikację prowadzić przez łączenie towarzystwa polskiego z rosyjskim. W tej myśli wyjednał ze skarbu fundusze na budowę domu dla Straży Ogniowej. Mowa o domu, gdzie mieści się obecnie Biblioteka Powiatowa. Dom ten budował z prawdziwym umiłowaniem swego celu — stworzenia Klubu jednoczącego towarzystwo. Wszystko zaplanował, o niczym nie zapomniął. Do Klubu tego, zwanego «Obszczestwiennoje Sobranije», zapisali się Rosjanie i prawie wszyscy Polacy będący na urzędach. Odbywały się zebrania, pijatyki, gra w karty, a Gorodeckij przesiadywał noce, dumny ze swego dzieła”.

Mówię o tym obszerniej, gdyż taka była historia powstania domu, o którym jeszcze będzie mowa jako o siedzibie stowarzyszenia, które zarówno w latach przedwojennych, jak i międzywojennych odgrywało po-

ważną rolę w życiu politycznym i gospodarczym naszego miasta, tj. o „Lutni”.

Po Gorodeckim naczelnikiem powiatu został w 1909 r. baron Kloppman, z pochodzenia i zachowania Niemiec, cieszący się opinią solidnego człowieka, zagorzały myśliwy i miłośnik psów.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do budynku — siedziby rosyjskich władz powiatowych, w gwarze miejscowej zwanego potocznie „powiatem”. A więc poza wyżej wspomnianym biurem urzędu powiatowego mieściło się tu również „Mławskoje Ujezdnoje po Woinskim Diełam Prisutstwie”, czyli coś w rodzaju obecnego WKR-u. Odbywały się tam pobory do wojska lub — jak to się wtedy mówiło — „losowania”. Nazwa „losowania” powstała stąd, że do wojska rosyjskiego w pewnych rejonach i w pewnych okresach nie zawsze brano wszystkich uznanych przez komisję za zdolnych do pełnienia służby wojskowej. Podaż bowiem (że użyjemy tu niewłaściwego może wyrażenia) bywała czasami większa niż zapotrzebowanie. Wówczas odbywało się losowanie i ten, kto wyciągnął los, powiedzmy, wyższy, niż określał wyznaczony limit, bywał od pełnienia służby wojskowej, przynajmniej na razie, zwalniany. Na tym tle, mówiąc nawiasem, było dużo nadużyć. Ten, kto dobrze mógł się opłacić szefowi owej instytucji, przeważnie wyciągał duży numer i do wojska nie szedł.

Piętro tego budynku (parter wcześniej został dostosowany do swego nowego przeznaczenia) miało charakterystyczny układ pokoiów, zachowany jeszcze w 1920 r. Mianowicie był tam dość długi korytarz, w którym po obydwu stronach znajdowały się drzwi prowadzące do małych pokoików podobnych do cel. Świadczyło to, że należał on swego czasu do zabudowań klasztornych. Po wyzwoleniu władze PRL przekazały tytuł własności tej posesji mławskiej parafii.

Tyle o samym Rynku, a teraz przejdziemy do opisu poszczególnych ulic.

Od centralnego punktu miasta, którym — jak już powiedzieliśmy — był Rynek, z każdego jego rogu rozchodziły się po dwie, zresztą przeważnie krzywe i wąskie, ulice. Tak więc od północno-zachodniego rogu na zachód prowadziła ulica Ogrodowa (jedyna szeroka — obecnie Obrońców Stalingradu), a na północ prawie prostopadle do niej ul. Działdowska (obecnie Bolesława Chrobrego), z dalszym jej ciągiem obecną częścią ulicy Żwirki.

Po lewej stronie ul. Ogrodowej stał tylko drewniany parkan, za którym był ogród owocowy, a dopiero na rogu w pobliżu parku wzniesiony został ok. 1905 r. duży, piętrowy dom, jedyny w mieście, o którym można by powiedzieć, że pełnił rolę jakiegoś takiego ogniska kultury.

W domu tym bowiem na piętrze była sala widowiskowa ze scenką i garderobami, jeden duży pokój, tzw. stołowy, oraz dwa małe, przeznaczone na bufet i damski buduar. Odbywały się tu wszelkiego rodzaju widowiska, przedstawienia amatorskie i przyjezdnych zespołów teatralnych, koncerty i zabawy taneczne, słowem, to wszystko, na co w owych czasach pozwalała carska cenzura. Na parterze znajdowały się dwa duże pokoje, w których mieściło się początkowo tzw. „Obszczestwiennoje Sobranije”, po polsku zwane Resursą Obywatelską, a później Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia”. Reszta budynku wraz z przyległym dziedzińcem oddana była do dyspozycji Ochotniczej Straży Pożarnej; miała tam ona coś w rodzaju świetlicy, a raczej pokoju na biuro i na swoje organizacyjne zebrania oraz pomieszczenia na sprzęt strażacki.

Ale „Lutni” z tego okresu wypada poświęcić nieco więcej miejsca i uwagi. W tym też celu pozwolę sobie przytoczyć kilka ustępów z wydanej w 1931 r. broszury pt. „Dzieje Mławskiego Towarzystwa Śpiewaczego «Lutnia» przez 30 lat istnienia”, o której już raz wspominałem. W broszurze tej czytamy m. in.:

„Jak to potwierdza cenna monografia Mławy, Dominika Staszewskiego, założenie („Lutni”) nastąpiło w 1901 r. Myśl polska tkwiła wprawdzie w głębi kilku ognisk domowych, ukryta «jak strumyk skuty lodami», ale na arenie życia publicznego w obawie przed żandarmerią nikt ukazać się nie chciał. Wówczas wystąpiła na widownię «Lutnia». Zgrupowała ona co najlepszą inteligencję polską z miasta i okolicy i postawiła sobie za zadanie podtrzymywanie kultury polskiej w mieście i wywieranie wpływu na całe środowisko miejskie, nie wyłączając Rosjan. O ile poszczególne Polak nie miał odwagi akcentować swego polskiego stanowiska wobec Rosjanina, o tyle życie zbiorowe «Lutni» nastęrczało codziennie Rosjanom okazję do dowiedzenia się, że jednak tu jest Polska, że jednak tu płynie odrębne od nich życie polskie i że kto inny nie tyle jest, ile powinien być gospodarzem tej ziemi i tego miasta, nie oni. Miało to ogromne znaczenie wychowawcze dla naszego polskiego społeczeństwa”.

Cytuję dalej: „Z «Lutni» wychodziły hasła w dni tak zwane «wolnościowe», podczas chwilowego załamania się absolutyzmu carskiego w Rosji w 1905/06 r., stąd hasła wyborcze do I Dumy rosyjskiej i delegaci do Płocka — Józef Ossowski (rejent) i dr Alojzy Korzybski (lekarz), tu obchodziło się jawnie i skrycie rocznice i obchody patriotyczne, tu koncentrowało się życie towarzyskie, tu młodzież uczyła się śpiewu i sztuki dramatycznej i stąd zespoły śpiewacze i sceniczne wyjeżdżały często na występy do sąsiednich miast: Ciechanowa, Przasnysza i innych. Tu wytwarzało się zainteresowanie literaturą polską, a ceniona literatka Zuzanna Morawska miewała pogadanki propagandowe i odczytywała

utwory własne. Wielu młodych urzędników w zetknięciu z «Lutnią», a szczególnie ze sceną, przekonywało się, że nie zna dobrze języka polskiego, i brało się do nauki. Tu podejmowana była w 1907 r. «Lutnia» warszawska z Piotrem Maszyńskim na czele z wielką serdecznością i zapalem patriotycznym”.

I jeszcze dalej czytamy w broszurze:

„Działalność i znaczenie «Lutni» szybko rosły. Chór się rozwijał pod dyrekcją z początku Franciszka Hanżwica, sympatycznego Czecha, kapelmistrza pułkowego, i Marii Usakiewiczowej, a od 1907 r. pod kierownictwem zaangażowanego młodego muzyka Wacława Szwejkowskiego, który jednocześnie objął stanowisko nauczyciela śpiewu w Szkole Handlowej i na pensji żeńskiej Antoniny Mrozowskiej”.

Przed samym wybuchem wojny „Lutnia” liczyła około 150 członków, chór mieszany składał się z około 25 osób, czynny był kilkunastoosobowy zespół mandolinistów. W tym czasie „Lutnia” rzeczywiście dbała o kulturę muzyczną swych członków i mieszkańców miasta, a nawet okolicy. Dawała też możliwość słuchania pierwszorzędnych sił zamiejscowych, jak np. pianisty prof. Michałowskiego, skrzypka Stanisława Barcewicza, artysty operowego Grąbczewskiego i wielu innych.

Jednakże „Lutnia” z lat 1901—1914 i „Lutnia” z okresu międzywojennego to bynajmniej nie to samo. Podczas gdy pierwsza była rzeczniczką postępu i patriotyzmu, druga okazała się protektorką faszyzujących organizacji, siedzibą i propagatorką zaprzaństwa, małomiasteczkowych ambicji, antysemityzmu i wstecznicstwa. O tym jednak będziemy mówili szerzej przy charakterystyce okresu międzywojennego.

Wracam więc do dalszego opisu ówczesnej ulicy Ogrodowej, obecnej Obrońców Stalingradu, prowadzącej i właściwie kończącej się na parku miejskim. Pierwszym budynkiem po prawej jej stronie był dom, w którym mieściło się biuro notarialne rejenta Konrada Olszewskiego, narożny, jeden z największych w mieście, sklep kolonialny Jana Staszewskiego, a przez ścianę z nim księgarnia Jana Kobylińskiego — znanego antysemitę i zagorzałego zwolennika Narodowej Demokracji. Dalej ciągnął się długi parterowy budynek ze sklepami zarówno przemysłowymi, jak i spożywczymi. Budynek ten zresztą przetrwał obydwie wojny i dopiero w ostatnich latach został, jeśli tak można powiedzieć, rozparcelowany, a dzięki nadbudowie piętér przerobiony na szereg całkiem ładnych domków mieszkalnych ze sklepami na parterze.

W ostatnich dwóch domach, już za obecną ul. Wigury (dawniej nazywała się ona Wilczą), mieściły się sklepy, m. in. „Księgarnia Feliksa Michała Lubicz-Wolskiego” (taki szyld wisiał nad wejściem do sklepu), a następnie Stanisława Siudaka — również późniejsze gniazdo endecko-antysemityczne, i wreszcie restauracje Nowickiego. W tymże domu przez

długie lata mieszkał dr Józef Ostaszewski — postać ze wszech miar godna uwagi. Z zawodu lekarz, piastował przez długie lata stanowisko dyrektora szpitala, a jednocześnie był niezłym malarzem; w okresie międzywojennym wydał kilka książek o Mławskim Mazowszu, był wykładowcą geologii na zorganizowanym w początkach lat dwudziestych „Uniwersytecie Powszechnym” i wybitnym działaczem społecznym na miejscowym terenie oraz ideowym przywódcą elementów faszystujących spod znaku Obozu Wielkiej Polski. Mimo tak wielostronnych zainteresowań i absorbujących prac, człowiek ten znajdował czas na prawie codzienne odwiedzanie „Lutni”, której był długoletnim prezesem, na zagranie w preferansa czy winta, na małą potańcówkę, a nawet na udział w lekcji śpiewu. Gdyby nie jego wybitnie prawicowe zapatrywania, człowiek ten mógłby być śmiało uważany za jednego z najwybitniejszych i najpożyteczniejszych dla społeczeństwa mławian.

Dalszym ciągiem ulicy Ogrodowej była szeroka, brukowana ni to ulica, ni to aleja, po obu stronach obsadzona podwójnymi rzędami kasztanów, prowadząca w kierunku cerkwi, stojącej tam, gdzie jest obecnie parkowa fontanna. Na tej właśnie alei odbywały się w tzw. dniach galowych (rosyjskie święta państwowe, urodziny i imieniny członków rodziny cesarskiej itp.) uroczyste defilady wojskowe. Wspomniana cerkiew wobec wyjazdu z Mławy prawosławnych Rosjan została rozebrana w 1926/27 r., a teren od obecnej ul. Żeromskiego w kierunku b. cerkwi włączono do parku miejskiego. Dzięki dołączeniu do tegoż parku w tym samym czasie tzw. „cerkiewniaka”, tj. ogrodu okalającego zabudowania cerkiewne (plebanię), a kilka lat przedtem tzw. Końskiego Rynku Mława stała się posiadaczką prawie 6-krotnie większego niż przed 1914 r., a jednocześnie jednego z największych i najładniejszych parków na terenie województwa warszawskiego.

Drugą ulicą wychodzącą z północno-zachodniego rogu Rynku była ul. Działdowska (obecnie Bolesława Chrobrego), która po około 150 metrach skręcała niemal pod kątem prostym w lewo i prowadziła w kierunku przedmieścia Wólka, tj. do stacji kolejowej. Po obu stronach tej ulicy ciągnęły się przeważnie drewniane parterowe domki, dopiero na zakręcie po prawej stronie stał duży murowany dom młynarza Rudolfa Wiśniewskiego. W domu tym na I piętrze przez pewien czas zajmowała kilkupokojowy lokal wspomniana już „Lutnia”, a po niej „Resursa Rzemieślnicza”. Resursa ta, powstała około 1910 r., w pewnym okresie była poważną konkurentką „Lutni”, skupiała bowiem w swoich szeregach liczne podówczas rzemiosło wszelkich dykasterii. A że i niektórzy urzędnicy lepiej czuli się wśród swych braci czy ojców — rzemieślników aniżeli wśród miejscowych dygnitarzy — członków „Lutni”, przeto miała ona wielkie szanse na szybki rozwój i na przyciągnięcie do siebie poważnej części

mieszczañstwa. Niestety w środowisku tym nie znalazł się żaden wybitniejszy i energiczniejszy człowiek, który potrafiłby odpowiednio instytucję poprowadzić, więc też Resursa, aczkolwiek był tu chór i kółko dramatyczne, odbywały się odczyty i zebrania towarzyskie oraz zabawy taneczne, poważniejszej roli w życiu miasta nie odegrała.

W tymże domu mieścił się do chwili wybuchu wojny sklep monopolowy. Otóż w pierwszych dniach wojny wobec wprowadzenia na terenie całego cesarstwa rosyjskiego prohibicji (choć restauracje I kategorii nadal wódką handlowały) wszystkie zapasy alkoholu wylane zostały wprost do rynsztoków. Podobno niektórzy amatorzy tego drogiego płynu nie omieszkali z tego skorzystać i czerpiąc wódkę wprost z rynsztoka ponapełniali sobie nią całe wiadra, jako że „od przybytku głowa nie boli”.

Dalszym ciągiem ulicy Działdowskiej była obecna ul. Żwirki, przy której na rogu Wójtostwa stał jeden z najstarszych w mieście murowanych budynków. W rozmaitych okresach czasu zajmowany on był przez przytułek dla starców, stanowił siedzibę Zarządu Drogowego lub wreszcie zamieszkiwany był przez osoby prywatne. Naprzeciwko tego budynku, po drugiej stronie Wójtostwa, stał parterowy, niedawno rozebrany, drewniak, w którym mieściła się drukarnia Bronisława Kowalskiego. Właściciel jej był znanym w sferach towarzyskich lowelasem, wodzirejem na zabawach publicznych, pierwszym na terenie miasta automobilistą, zamiłowanym myśliwym, amatorem wszelkich gier karcianych, jednym słowem, jak to się mówi, partnerem „i do wypitki, i do wybitki”. Nie stronił też od pracy społecznej, przez wiele lat był naczelnikiem Ochotniczej Straży Pożarnej, sędzią pokoju, wchodził w skład władz miejskich bądź jako radny, ławnik czy nawet jako wiceburmistrz.

Na placu tuż obok wspomnianego domu około 1906 r. postawiony został trzeci (za pierwsze dwa uznaliśmy „Lutnię” i „Resursę Rzemieślniczą”) przybytek kultury, mianowicie kino „Wenus”, nazywane wówczas iluzjonem. Był to drewniany barak z niewielkim wewnątrz balkonikiem, mogący pomieścić niewiele ponad 100 osób. Właścicielami byli bracia Jaworscy. Filmy wyświetlano oczywiście tylko nieme, ilustrowane muzycznie przez pianistę Zydlera, który w chwilach wolnych od normalnych zajęć w kinie obsługiwał również wszystkie, jak to się dziś nazywa, „prywatki”. Brat jego, Jan Zydlar, był autorem podręcznika geometrii, jedyne go bodaj, z którego w okresie przed pierwszą wojną można się było uczyć geometrii po polsku.

Dalej stała istniejąca do dziś hala targowa, za nią dwa domki mieszkalne i spory parterowy dom z czerwonej cegły, mieszczący klub oficerski (obecnie szkoła nr 2). Tu odbywały się często zabawy taneczne dla Rosjan, tu codziennie zbierali się oficerowie i ich damy, tu skupiało się ich życie towarzyskie, tu wreszcie grano w karty i bilard, tu nierzadko

też przebierali miarkę nie unikający uciech cielesnych młodzi oficerowie rosyjscy. Taką przynajmniej opinię miał ten lokal wśród cywilnych mieszkańców Mławy.

Już w pobliżu rozpoczynającej się alejki wiodącej do stacji kolejowej znajdował się plac zwany Świńskim Rynkiem, gdzie w czasie jarmarków odbywał się handel trzodą chlewną. Na tym to placu, ciągnącym się aż do obecnej ul. Leśnej, stawały też od czasu do czasu cyrki, jakieś rozrywkowe bałaganiki, huśtawki i karuzele.

Lewa strona dawnej ul. Działdowskiej aż do obecnej Żwirki zabudowana była wyłącznie drewnianymi, parterowymi domami mieszkalnymi, częściowo służącymi za pomieszczenia zakładom rzemieślniczym, krawieckim i szewskim. Dalsza część lewej strony ulicy zabudowywać się zaczęła dopiero przed samą wojną, ale w domach tych nic ciekawego się nie działo. Były to zwykłe domy mieszkalne, ze stosunkowo nielicznymi sklepami na parterze.

I znów wracamy do Rynku. W drugim, północno-wschodnim jego rogu rozchodziły się na północ ul. Niborska (obecnie Padlewskiego) i na wschód — ul. Szkolna (obecna Nowotki).

Ul. Niborska, jak o tym mówi sama dawna jej nazwa, wskazywała kierunek do Niborka (obecnej Nidzicy), nie wiem więc, czy właściwa i konieczna była zmiana nazwy, podkreślającej wszak ścisłą więź z wówczas zarubieżnym, ale przecież polskim Niborkiem.

Przy ul. tej aż do mostu na Seraczu stały prawie wyłącznie drewniane, parterowe domy mieszkalne, niektóre z facjatami i gankami. Drugi dom, licząc od Rynku po prawej stronie, jeden z najstarszych w mieście, uważany był za miejsce kwatery albo samego Napoleona I, albo jednego z jego marszałków w okresie marszu na Moskwę. Czy tak było rzeczywiście, trudno stwierdzić, w każdym razie o tym swego czasu mówiono, a nawet pisano.

W jednym z dwóch w tej części ulicy murowanych domów mieszkał przez długie lata dr Alojzy Korzybski — człowiek ze wszech miar zasługujący na wielkie uznanie. Przez szereg lat był on jednym z nielicznych wówczas w Mławie lekarzy i piastował szereg stanowisk zarówno związanych, jak i nie mających nic wspólnego z jego zawodem. Był też wielkim społecznikiem i chętnie służył radą i pomocą wszystkim, którzy jej potrzebowali. Takich ludzi jak on było i jest w Mławie niewiele.

Naprzeciwko domu, w którym mieszkał dr Korzybski, tuż za wąziutką uliczką prowadzącą od Niborskiej do Działdowskiej (nazywała się ona Misjonarska, a była tak wąska, że nie starczało tam miejsca nawet na chodnik), stała plebania. Zasługiwała ona na uwagę chyba tylko dlatego, że poza proboszczami, ks. Stanisławem Ordonem, a później Ludwikiem Sokolikiem, mieszkał w niej także ks. Biały. Był to człowiek b. warto-

ściowy, patriota, wielki przyjaciel i w pewnym sensie nieoficjalny duchowy przywódca młodzieży, utrzymujący ściśle, serdeczne stosunki ze zdolniejszymi uczniami starszych klas ówczesnej mławskiej szkoły średniej.

Idąc dalej ulicą Niborską tuż za mostem napotykamy drewniany, w stylu mazurskim domek, w którym przez szereg lat mieściła się tzw. ochronka, a właściwie przedszkole, prowadzone przez starszą niewiastę nazwiskiem Statkiewicz. Przedszkole to, jedyne w mieście, było dostępne oczywiście tylko dla tych dzieci, których rodziców stać było na ponoszenie pewnych ciężarów materialnych. Dzieci biedniejszych rodziców, a nawet średnio zamożnych, z zakładu tego korzystać nie mogły.

Nieco dalej, po lewej stronie ulicy, stał budynek szpitala Św. Wojciecha, jedyna, poza wojskowym, placówka zdrowia dla miasta i okolicy. Ale i tu nieodzownym warunkiem korzystania z niej były dość wysokie opłaty za każdy dzień pobytu chorego w szpitalu i za dokonywane zabiegi, na co znów bynajmniej nie wszyscy mogli sobie pozwolić.

Po prawej stronie ulicy, tuż za ul. Dzierzgowską, stał drewniany, sześcioboczny domek, w którym mieściła się do 1906 r. tzw. Pensja Antoniny Mrozowskiej, przeniesiona następnie do nowo wzniesionego gmachu przy obecnej ul. Sienkiewicza, gdzie obecnie mieści się część Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Szkoła była zakładem prywatnym (znów sprawa opłat) o poziomie mniej więcej 4 klas dawnej szkoły średniej, z tym że po kilku latach przekształciła się ona w normalną żeńską szkołę średnią.

Skoro już wspomnieliśmy o ul. Dzierzgowskiej, wypada zaznaczyć, że w murowanym domku po jej lewej stronie (stoi on do dziś) mieściła się tzw. szkoła początkowa (naczalnoje uczeliszcze), prowadzona przez Polaka — Bieńkowskiego. Była to szkoła 4-oddziałowa, której program równał się mniej więcej 2 klasom obecnej szkoły podstawowej. Nauka w niej była w zasadzie bezpłatna i dla wszystkich dostępna. Ilu w niej „kształcić” się mogło uczniów, niech powie o tym sam budynek. Nie pomyłę się chyba, jeśli powiem, że liczba ich wynosiła niewiele ponad 20.

Dalszy ciąg ul. Niborskiej i Dzierzgowskiej to domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze dość licznych rzemieślników i rolników, takich jak Dębscy, Wasiłowscy, Bieranowscy, a przy innych ulicach także Jabłonowscy, Wiśniewscy, Szatkowski i in. Oczywiście nie wszystkie domy w całości zajmowane były przez właścicieli; mieszkali w nich również lokatorzy rekrutujący się ze wszystkich sfer, a więc zarówno urzędnicy, jak i pracownicy handlu i przemysłu, rzemiosła itd.

Jednym z ostatnich domów po lewej stronie był tzw. „kordon” — siedziba straży granicznej, mającej za zadanie walkę z mocno rozpowszechnionym wówczas przemytem. Toteż przez ową straż graniczną często rewidowani byli nawet ci mieszkańcy miasta, którzy chodzili do lasu miejskiego po jagody, grzyby, chrust czy tylko na spacer. Wreszcie już

właściwie poza miastem, na górze po lewej stronie, był tzw. cmentarz choleryczny. Chowano tam zmarłych na panującą przed stu laty na ziemiach polskich cholerę, a w późniejszych czasach samobójców i przestępców, traconych na mocy wyroków sądowych. Pochowany tam został m. in. również niejaki Czajkowski, zabity w czasie akcji uczestnik napadu w 1906 czy 1907 r. na Bank Spółdzielczy, mieszczący się w domu Strupczewskiego przy ul. Długiej nr 8.

Prostopadłą do ul. Niborskiej, wychodzącą z Rynku na wschód była, tak jak i jest, ul. Szkolna, obecna Marcelego Nowotki. Przy niej, tu, gdzie obecnie jest Archiwum Powiatowe i Sp-nia Ogrodnicza „Mazur”, mieścił się areszt miejski, który w następnych latach awansował do rangi więzienia. Bezpośrednio przed tym budynkiem na lewo w dół prowadziła wąska uliczka — Poświętne, przy której naprzeciwko aresztu stał drewniany prywatny magazyn zbożowy. Ul. Poświętne, która za rzeczką zlewała się z ul. Niborską, odgrywała w życiu miasta poważną rolę dzięki temu, że przy niej, w odległości ok. 100 m od ul. Szkolnej, znajdował się duży naturalny zbiornik wody pitnej, uznawanej za najlepszą w mieście. Z tego to zbiornika przy pomocy trzech ręcznych pomp czerpali wodę mieszkańcy poważnej części Rynku i pobliskich ulic. W związku z tym w mieście była nawet poważna grupa ludzi — nosiwodów, którzy z tego źródła czerpali środki na swoje utrzymanie.

Przed budynkiem aresztu w roku, zdaje się, 1907, a kto wie czy nie 1904, miała miejsce pewnego rodzaju manifestacja. Odbyła się ona w następujących okolicznościach.

Latem z inicjatywy bodaj „Lutni” w lasku majątku Nosarzewo-Borowe urządzona była majówka, przeciwko której jako imprezie wybitnie rozrywkowej ówczesne władze nie mogły mieć żadnych obiekcji i zezwolenie wydały. Atoli majówka była tylko pretekstem, a chodziło o jakies liczniejsze zebranie przy udziale niektórych wybitniejszych osobistości z Mławy i okolicy. Zebranie odbyło się więc normalnie, ale gdy dowiedziała się o nim żandarmeria, pociągnięto do odpowiedzialności jego organizatorów, a więc właściciela majątku Nosarzewo-Borowe, Władysława Piechowskiego (brata malarza — Wojciecha), właściciela majątku Szydłówek — Karola Reinhardta, właściciela majątku Kosinki Kapiczne — Olszyńskiego i bodaj jeszcze dwóch czy trzech ziemian. Rezultat był taki, że oskarżeni dostali po parę tygodni aresztu, którą to karę mieli odbyć w mławskim areszcie. W oznaczonym dniu i godzinie mającej się rozpocząć „odsiadki” przed aresztem zebrał się tłum ludzi, a gdy bohaterowie dnia zajechali karetami „pod kasztanki” (tak nazywano wtedy mławski areszt), urządzono im wielką owację, obrzucono kwiatami i żegnano długo nie milkącymi okrzykami: „Niech żyją!” Żartowano sobie wprawdzie potem, że w więzieniu dobrze im się powodziło, bo weszli doń nie tylko

z kwiatami, ale również z koszami jadalnych i napojów oraz z meblami, jak łóżka, krzesła i zielony stolik, ale władze przy tej okazji dowiedziały się, jakie nastroje panują w społeczeństwie i jakie stanowisko społeczeństwo to zajmuje wobec ówczesnych władz i ich policyjnych metod i zarządzeń.

Po prawej stronie ul. Szkolnej, niemal naprzeciwko więzienia, stał dość długi, murowany, z facjatami dom (obecne przedszkole), w którym mieściły się aż 2 szkoły. Jedna była szkołą początkową 4-oddziałową; prowadził ją Rosjanin Karnauchow; druga nieco wyższego stopnia, 2-klasowa, której wieloletnim kierownikiem i jedynym zresztą wykładowcą był Polak Antoni Grunwald. Patrząc na ten stojący dotychczas, choć nadbudowany dom, można sobie łatwo odpowiedzieć na pytanie, ilu uczniów do tych szkół uczęszczało, skoro każda z nich zajmowała tylko połowę parturu. Łącznie chyba około 50. W ciągu szeregu lat z tej drugiej szkoły, ironicznie zwanej „Uniwersytetem Grunwalda”, wyszło wielu młodych ludzi, którzy później doskonale dawali sobie radę czy to na urzędach, czy w handlu, czy w rzemiośle.

Nieco dalej przy tejże ulicy mieściła się jeszcze trzecia szkółka początkowa (stąd nazwa ulicy — „Szkolna”), prowadzona przez Pradywusa, z pochodzenia Łotysza lub Estończyka. Do niej uczęszczało również zaledwie 20 uczniów płci obojga, w tym kilkoro Rosjan, a zajmowała ona tylko jedną izbę w małym domku naprzeciwko wjazdu do obecnego Młyna PZZ.

Ulica Szkolna prowadziła, co prawda nie tak prosto jak dziś, do dzielnicy miasta zwanej Kozielskiem. Nazwa ta powstała prawdopodobnie stąd, że mieszkała tam przez długie lata pewna kobieta nazwiskiem Wolter (przezywano ją „kozia matka Wolterka”), która podobnie zresztą jak i inni mieszkańcy tej dzielnicy — przeważnie ogrodnicy, drobni rolnicy i biedota — hodowała dużo kóz.

Ostatnim budynkiem po lewej stronie ul. Szkolnej był duży drewniany dom Dominika Staszewskiego, znanego z wydanej w swoim czasie krótkiej monografii Mławy, będącej już dziś unikatem.

Na Kozielsku powszechnie znane było swego czasu gospodarstwo ogrodnika Wierzbickiego, u którego mieszkańcy miasta zaopatrywali się w kwiaty potrzebne na upominki lub na żałobne wieńce. W skład tego gospodarstwa wchodził również duży, częściowo zdziczały ogród owocowy oraz dwa stawy. Jeden z nich służył w lecie za kąpielisko, z którego korzystała poważna część mieszkańców Mławy, odczuwających potrzebę dokładniejszego umycia się czy popływania. W okresie zimowym staw ten służył też za lodowisko. Rzadko to się wprawdzie zdarzało, ale niekiedy, gdy ze stacjonującego w Mławie pułku huzarów oficerom i ich damom zachciało się zażyć przyjemności ślizgawki, grywała tam nawet dęta orkiestra wojskowa.

Wracamy znów do Rynku. Od niego na wschód biegła ul. Krzynowłodzka (obecna 18 Stycznia), a prostopadle do niej ul. Warszawska. Na początku ul. Krzynowłodzkiej (nie licząc oczywiście gmachu, w którym obecnie mieszczą się duże sklepy PSS) stały te same budynki, które stoją do dziś. Nieco dalej, między tą ulicą a dawną Szkolną, rozciągał się drugi w mieście publiczny ogród, zadrzewiony prawie wyłącznie kasztanami, zwany w owym czasie Zielonym Rynkiem. W 1928 r., gdy do głosu na terenie Rady Miejskiej doszli socjaliści, przemianowany on został na Plac 1 Maja. Przy placu tym, tu gdzie obecnie znajduje się Powiatowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna, mieściła się poczta i mieszkał szef żandarmerii Papudogło, a w narożnym domu przy ul. Krzynowłodzkiej adwokat Goldberg — Żyd, osoba ogólnie szanowana, jeden z założycieli „Handlówki”, człowiek, którego pogrzeb zgromadził na ulicach Mławy nie tylko wszystkich Żydów, ale również bardzo poważną część społeczeństwa polskiego. W domu naprzeciwko poczty mieszkał stary już wówczas, samotny, zacny człowiek, dr Żański, zmarły bodaj w 1910 r.

Dalej ul. Krzynowłodzka rozwidlała się, na lewo przechodząc w Nowowiejską, a na prawo obok cmentarza w ul. Browarną. Przy tej ulicy za zakrętem stał browar Segala, na którego posesji był również stawek wykorzystywany jako kąpielisko prawie wyłącznie przez obywateli wyznania mojżeszowego. Na terenie tym odbywały się też modły i pewne obrzędy religijne starozakonnych, m. in. takie, które w miejscowej gwarze nazywano „wytrząsaniem grzechów”. Miewało to miejsce późną jesienią w tzw. sądny dzień.

Mniej więcej naprzeciwko posesji Segala ciągnęły się ogrody Miłobędzkiego (później Bendycha), gdzie również były stawy, z których jeden przeznaczono głównie na kąpielisko, a drugi w zimie na ślizgawkę. Jak z tego, co już powiedzieliśmy, wynika, na terenie Mławy było w owym czasie (włączając w to tzw. Żabieniec oraz stawy Dębskiego i Kluszewskiego położone między ul. Dzierzgowską a Szkolną) sześć stawów, które spełniały rolę kąpielisk. Jeśli więc weźmie się pod uwagę, że miasto liczyło wówczas od 15 do 17 tysięcy mieszkańców, to można sobie wyobrazić, jaka w tych stawach mogła być woda i co by na ten temat powiedziała dzisiejsza Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna. Tym bardziej że woda ze stawu Segala zasilala stawy Bendycha, a staw Kluszewskiego zasilany był wodą ze stawu Wierzbickiego. Ale — jak to się mówi — „z braku laku dobry i opłatek”; dobrze więc, że choć takie były możliwości dokładniejszego zmycia z siebie brudu, zwłaszcza że prawie pewne jest, że w tym okresie nie było w Mławie ani jednego mieszkania z łazienką. Łaźnia zaś, poza rytualną, dostępną tylko dla Żydówek „mykwą”, była tylko jedna, i to przeznaczona wyłącznie dla wojska; cywile mogli z niej korzystać tylko po kryjomu, i to wyłącznie ci, którzy mieli tzw. chody.

Z Rynku na południe prowadziła jak i dziś ul. Warszawska. Zabudowana była aż do mostu, a nawet dalej — do Smolarni, brzydkimi drewniakami zajmowanymi przeważnie przez ludność żydowską. Dopiero za rzeczką mieszkali głównie Polacy — rzemieślnicy, rolnicy, robotnicy, drobni urzędnicy, a dalej już na Zabrodach znaczna grupa zamożniejszych ogrodników.

Tu, gdzie niedawno wzniesiono piękny gmach Technikum Ekonomicznego, było tzw. Starostwo, podobno niegdyś siedziba starosty grodzkiego. W omawianym przez nas okresie była to resztką gospodarstwa rolnego, na niewielką skalę prowadzonego jeszcze do wybuchu wojny, a stanowiącego własność rodziny Lelewelów. Rodzina ta składała się z dwóch starszych niewiast i jednego chorego umysłowo młodego człowieka, powszechnie zwanego „Maniusiem”. Byli to podobno dalecy krewni naszego historyka Joachima Lelewela, skoligaceni również z Henrykiem Sienkiewiczem, o którym często lubił mówić wspomniany Maniusz Lelewel jako o swoim sławnym wuju. Z gospodarstwa tego, a były tam i budynki gospodarcze, i drewniany, w parku, kryty gontem dworek, pozostał do dziś jedynie spichrz (przerobiony zresztą na budynek mieszkalny), bodaj uznany za zabytek historyczny czy architektoniczny, a więc będący pod opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Po obu stronach ul. Warszawskiej, od miejsca, w którym dochodzi do niej ul. Zabrody, mieściły się koszary 6 Donieckiego Pułku Kozaków. Wzdłuż ul. Zabrody stały stajnie, a po obu stronach Warszawskiej — duże piętrowe gmachy koszarowe, zaś na ich zapleczach znowu stajnie, magazyny i budynki gospodarcze. Jeden z budynków koszarowych, wprawdzie spalony w 1945 r. i gruntownie potem odbudowany i przebudowany, to ten, w którym mieści się obecnie Szkoła Podstawowa Nr 1.

Dalszy ciąg ul. Warszawskiej, oczywiście w dużo mniejszym niż obecnie stopniu, zabudowany był małymi domkami właścicieli gospodarstw rolnych. Na jednej z drózek prowadzących w kierunku Żabińca stały trzy wiatraki, które stanowiły charakterystyczną, widoczną z daleka „ozdobę” Mławy. Wiatraków było zresztą w Mławie więcej. Między innymi jeden stał w pobliżu ul. Dzierzowskiej, drugi (Krügera) opodal obecnej ul. Sienkiewicza i bodaj trzeci, a więc z kolei już szósty, na górze przy ul. Warszawskiej, gdzie do niedawna stała wieża triangulacyjna. Prawie wszystkie te wiatraki wyginęły (czy spłonęły) w początkach okresu międzywojennego, a zastąpiły je pobudowane w mieście i okolicy młyny motorowe, jak Czarki, Ledra, Mundlaka, Bęclawskiego i inne.

Przy końcu ul. Warszawskiej był cmentarz żydowski, tzw. „kierkut”. W związku z tym ul. Warszawska była często widownią ceremonii pogrzebowych, w których m. in. brały udział grupy zawodowych płaczków głośno lamentujących i w ten sposób w imieniu swoich mocodawców wyrażają-

cych głęboki żal z powodu śmierci człowieka odprowadzanego na tzw. miejsce wiecznego spoczynku.

W sąsiedztwie ul. Warszawskiej, na ul. Smolarnia, przed rokiem 1905 niejaki ob. Mariański założył prywatne progimnazjum, tj. niepełną szkołę średnią. Zakład ten istniał chyba tylko jeden rok i został zamknięty z powodu zbyt małej liczby uczniów. Mieścił się on w budynku, w którym po wyzwoleniu rozpoczęło swą działalność dzisiejsze Technikum Ekonomiczne.

Pomiędzy ul. Warszawską i Płocką, a więc tu, gdzie ul. Zduńska, Szewska, Krzywa, Kozia i in., znajdowała się bodaj najbrzydsza dzielnica Mławy. Zamieszkiwała ją głównie ludność żydowska oraz robotnicy, targarze, wszelkiego rodzaju pośrednicy handlowi, drobni kupcy, rzemieślnicy, biedota. Mimo iż teren był gęsto zabudowany domami mieszkalnymi, mieściło się tu również sporo magazynów oraz kilka garbarni, olejarni i mydlarni, zanieczyszczających powietrze wstrętnymi wyziewami i ściekami. Na to jednak wówczas lekarstwa nie znajdowano. Zresztą gdzieś i takie zakłady musiały się przecież pomieścić, z czegoś i ci ludzie musieli żyć i gdzieś mieszkać. Stała tu również synagoga, spalona bodaj w pierwszym dniu po zajęciu Mławy przez wojska hitlerowskie, a obok niej jakiś dom modlitwy i jeden z tak zwanych chederów (w mieście było ich kilka), tj. szkółek wyznaniowych, prowadzonych przez tzw. mełamedów. Poziom tego rodzaju „zakładów naukowych” był bardzo niski. Uczono tam głównie modlitw i czytania przez patrzenie na odpowiednie miejsce w książce i powtarzanie za mełamedem różnych tekstów, m. in. modlitw i ustępów Talmudu. Jedna z takich szkół nazywała się „Talmud—Tora” i w późniejszych czasach stała się na posiedzeniach Rady Miejskiej kością niezgody między żydowskimi ugrupowaniami zachowawczym i postępowym. Pierwsi bowiem dopominali się od miasta subsydiów na prowadzenie szkoły, drudzy uważali, że zakłady takie winny być zlikwidowane, a ich uczniowie przejść na naukę do szkół świeckich, m. in. do jednej z prowadzonych przez nauczycieli-Żydów szkoły powszechnej, względnie do istniejącego w okresie międzywojennym Gimnazjum Żydowskiego Związku Szkolnego.

Z czwartego rogu Rynku biegła na południe, podobnie jak i dziś, ul. Płocka. Była ona oczywiście znacznie węższa niż obecnie, miała chodnik miejscami zaledwie po jednej stronie, a zabudowania jej to przeważnie drewniane domy zamieszkałe aż do zakrętu głównie przez Żydów. W jednym z domów w pobliżu Rynku znajdował się drugi w mieście rosyjski sklep spożywczy Iwanowa, ojca długoletniego pracownika Zarządu Miejskiego, Mikołaja Iwanowa, który z biegiem czasu całkowicie zapomniał o swym rosyjskim pochodzeniu. W jednym z następnych domów mieściła się żydowska księgarnia Bluma, konkurentka księgarni polskich — Wol-

skiego (Siudaka) i Kobylińskiego. Zawzięcie rywalizowały one ze sobą i na tym tle dochodziło często do przykrych awantur oraz nawoływań do bojkotu nie tylko tej księgarni, ale również innych sklepów żydowskich. Aranżerami tych akcji, które w okresie międzywojennym doprowadziły nawet do demolowania straganów żydowskich na Rynku, byli działacze prawicowi, głoszący hasło: „Swoj do swego po swoje”. W myśl tego właśnie hasła założony został przez Spółdzielnię „Spójnia” sklep bławatny pod nazwą „Swoj”, jako drugie ogniwo spółdzielni w walce o odsunięcie Żydów od handlu i przejęcie go całkowicie przez Polaków, niestety nie mających zresztą ani potrzebnych do tego zamiłowań, ani odpowiednich uzdolnień.

Wracamy do ul. Płockiej. Otóż jej część bardziej oddaloną od Rynku, poczynając mniej więcej od kościoła ewangelickiego, zamieszkiwali przeważnie Polacy, podobnie jak i ul. Długa. Wypada wspomnieć, że przy tej ulicy mieściła się jeszcze jedna szkoła początkowa, tzw. ewangelicka, której kierownikiem był nauczyciel — ewangelik Missol. Była to, podobnie jak poprzednio wspomniane, szkoła w całym znaczeniu tego słowa początkowa, gdzie uczono tylko czytać, pisać i jako tako rachować, a więc poziom jej nie przekraczał 2 klas obecnej szkoły podstawowej. Dla ścisłości muszę dodać, że w szkole, do której uczęszczałem, uczono też trochę geografii, trochę historii Rosji i trochę gimnastyki, z tym że wszelkie wiadomości z tego zakresu musiały być wykuwane na pamięć. Uczniów miała ta szkoła, podobnie jak i inne, około dwudziestu.

Nie wspominałem jeszcze o piątej szkole początkowej dla dzieci żydowskich, a to dlatego, że dość często zmieniała ona swoją siedzibę i trudno było ją zlokalizować. Długoletnim jej kierownikiem był nauczyciel, oczywiście narodowości żydowskiej, Gołąb, a uczniów w niej również bywało od 20 do 30. Przez dłuższy czas, zaraz po przeniesieniu się Pensji A. Mrozowskiej do własnego gmachu, mieściła się ona przy ul. Niborskiej prawie na rogu Dzierzgowskiej.

Ostatnią wychodzącą z Rynku ulicą była krótka ul. Spichrzowa, przy której stały tylko budynki gospodarcze jednej z posesji rynkowych i narożny dom przy ul. Płockiej, na rogu zaś ul. Długiej — murowany dom lekarza weterynarii Bronisława Grzelińskiego. Żona jego, Leokadia, przez długie lata była jedną z najwybitniejszych działaczek społecznych na tujszym terenie i cieszyła się uznaniem zarówno władz, jak i społeczeństwa, bez względu na zabarwienie polityczne i pochodzenie socjalne podopiecznych.

Nie powiedziałem jeszcze nic o ulicach położonych nieco dalej od Rynku, a przecież i takie również były w Mławie. Do nich należy przede wszystkim Wójtostwo, które przed kilkudziesięciu laty stanowiło prawie jedną z najważniejszych ulic w mieście. Była to ulica b. długa, dość

szczelnie zabudowana, a mieszkało przy niej nie tylko sporo rolników, ale również rzemieślnicy, tacy jak garncarze, zduni, szewcy, krawcy, kowale itp. Toteż w dniu targowe można tu było widzieć wielu podążających na Rynek, np. szewców z obwieszonymi obuwiem stojakami, garncarzy i zdunów wiozących na wózkach całe masy swych wyrobów, a więc wszelkiego rodzaju garnków, misek, doniczek, kafli itp.

Na końcu Wójtostwa zwanym Rozgardem mieściła się w owym czasie rzeźnia, a w jej najbliższym sąsiedztwie rynek bydłocy. Na tymże rynku w dniu jarmarczne odbywał się również handel końmi, choć właściwy „koński rynek” był gdzie indziej. Przed wojną Końskim Rynkiem nazywał się plac, na którym obecnie znajduje się północno-wschodnia część parku ze stojącym tam tzw. „Dębem Wolności”. Na Rozgardzie urządzano od czasu do czasu stanowiska strzeleckie dla żołnierzy rosyjskich, którzy strzelali z karabinów do tarcz umieszczonych pod górami obok lasu. Tereny te po zalesieniu już po wojnie włączone zostały do lasu stanowiącego własność miasta, podobnie zresztą jak i część rozległych pastwisk, których współwłaścicielem był Cech Rolników, jedyne w dawnej Polsce i najstarsze w mieście zrzeszenie zawodowe. Przez dłuższy czas cech ten nosił oficjalną nazwę „Cechu Oraczy i Kuśnierzy”.

Podobną z charakteru do Wójtostwa była ulica Wymyślin, gdzie zamieszkiwało również kilku zamożniejszych rolników. Była to, a i jest niestety nadal, ulica skandalicznie krzywa, cieszyć się więc wypada, że w okresie międzywojennym została odrobinę uporządkowana i że również w ostatnich czasach pojawiły się jakies oznaki świadczące o dążeniu do jej wyprostowania i odpowiedniego zabudowania.

Przy obecnej ul. Sienkiewicza, zwanej kiedyś po prostu Szreńskim Traktem, potem Szreńską Szosą, stało tylko cztery czy pięć domów. Ten, w którym po dwukrotnej przebudowie i rozbudowie mieści się obecnie Prezydium PRN, zwany koszarami Białowiejskiego (od nazwiska właściciela), wojsko stosunkowo wcześniej opuściło i zamieszkały w nim osoby prywatne. W drugim miała siedzibę wspomniana już szkoła żeńska A. Mrozowskiej. Do 1906 r., jak już mówiliśmy, była to szkoła tylko 4-klasowa, a w latach następnych stała się normalną żeńską szkołą średnią. Początkowo nauczały w niej tylko trzy nauczycielki (Mrozowska, Poczubutt i Sokołowska), z biegiem czasu jednak i w miarę otwierania wyższych klas zarówno liczba nauczycieli, jak i uczennic stale wzrastała, przy czym liczba uczennic wkrótce przekroczyła setkę. Przy szkole znajdował się internat dla dziewcząt przeważnie z rodzin ziemiańskich. Zarówno sama szkoła, jak i internat były prywatną własnością przełożonej Antoniny Mrozowskiej.

Dalej przy ul. Sienkiewicza, prawie naprzeciwko ul. Wyspiańskiego, stał jeden drewniak mieszkalny i wreszcie czwarty był ten dom, gdzie

mieści się obecnie Przychodnia Lekarska. Wówczas przeznaczony został wraz z innymi budynkami gospodarczymi na koszary artyleryjskie, stajnie itp. Mniej więcej tu, gdzie znajduje się obecnie stadion sportowy, mieściła się prochownia, plac ćwiczeń i ujeżdżalnia koni. Posesja ta była własnością Dawida Piżyca, który aczkolwiek od wielu lat stracił kontakt z krajem i z Mławą, to jednak o swym rodzinnym mieście nie zapomniał. Przed kilkoma laty przekazał on część uzyskanej ze sprzedaży tej posesji sumy na cele oświatowe, ściślej mówiąc, na budowę Szkoły Podstawowej Nr 2 przy ul. Sienkiewicza. Dalej nieco, w głębi, stał spory budynek drewniany, w którym przez pewien czas, oczywiście już po wojnie, a nawet i obecnie, mieściły się internaty szkolne.

Obecna ulica Wyspiańskiego, dawna Monopolowa, zabudowana charakterystycznymi, nietynkowanymi, czerwonymi domami, w zasadzie niewiele się zmieniła. Budynki te zajmowały zakłady rektyfikacyjne, a po 1906 r. 7-klasowa Szkoła Handlowa (obecnie Liceum im. St. Wyspiańskiego). Główny budynek stopniowo rozbudowywano, a po spaleniu w 1945 r. gruntownie przebudowano.

Szkoła, która znalazła pomieszczenie w tych sześciu budynkach, powstała w 1906 r. dzięki zapobiegliwości właściciela majątku Windyki, Bronisława Klickiego, i ofiarności społeczeństwa Mławy, głównie zaś okolicy, tj. powiatów: ciechanowskiego, przasnyskiego, sierpeckiego, no i oczywiście mławskiego. Dyrektorem szkoły był przedwcześnie zmarły, a niezwykle wartościowy człowiek i znakomity pedagog Edmund Fankanowski. Do 1914 r. ze szkoły wyszło wprawdzie niewielu, bo zaledwie 37 maturzystów, trzeba jednak brać pod uwagę i to, że z ostatnich klas sporo uczniów przechodziło do szkół rosyjskich, aby tam otrzymać świadectwa dojrzałości uprawniające do wyższych studiów na terenie cesarstwa rosyjskiego. Szkoła mławska, której i ja byłem absolwentem, jako szkoła z wykładowym językiem polskim (tylko historia i geografia wykładane były po rosyjsku), praw takich nie dawała. Trzeba przy okazji podkreślić, że nie zdarzyło się, aby któryś z maturzystów mławskich „oblał” egzamin maturalny, zdając czy to jako ekstern, czy też jako już tylko jednoroczny uczeń szkoły rosyjskiej. Okoliczność ta świadczy dobrze o poziomie nauczania i wartości szkoły jako średniego zakładu naukowego.

Do szkoły uczęszczało przeciętnie około 200 uczniów, a nauczycieli w ostatnim 1914 r. było jedenastu, wśród nich autor podręcznika fizyki inż. Jan Wojnicz-Sianożęcki. Przy szkole dla niezamożnych uczniów był internat, z którego korzystało około 40 chłopców — głównie dzieci rolników. Opiekunem internatu był ostatnio nauczyciel gimnastyki Władysław Siedlanowski.

Przy obecnej ul. Reymonta stały tylko trzy domy: narożny, w którym mieściła się Kasa Skarbowa (obecny gmach Poczty), następny, gdzie

mieszkał i urzędował notariusz Józef Ossowski, oraz trzeci, Szyi Noachowicza, zajmowany na mieszkania prywatne, gdzie po przebudowie znalazły locum: Sąd Powiatowy, Prokuratura i Notariat. W domu tym do 1914 r. mieścił się m. in. prywatny internat, który by można nazwać ekskluzywnym, gdyż mieszkali w nim przeważnie chłopcy z rodzin zamożnych, w większości ziemiańskich. Właścicielką internatu była p. Szyllingowa, matka późniejszego gen. Szyllinga.

Dalszy ciąg obecnej ulicy Reymonta — to sad owocowy, z którego w następstwie wydzielono place budowlane, stanowiące własność geometry Władysława Januarego Starzyńskiego, który był też właścicielem szerokiego pasa gruntów przy obecnej ul. Kościuszki, od obecnej ul. Lelewela aż do torów kolejowych.

Dzisiejsze ulice: Olsztyńska, Leśna, Sportowa, Kościuszki, Ordon, Zachodnia, Słowackiego, Bednarska, Bagno, Lelewela, Łomska, Z. Morawskiej i inne, albo wcale wówczas nie istniały, albo były tylko wąskimi, niebrukowanymi drózkami prowadzącymi na podmiejskie pola lub do okolicznych wiosek.

To chyba prawie wszystko o ulicach właściwej Mławy. Pozostaje tylko powiedzieć jeszcze coś niecoś o jej przedmieściu Wólce i prowadzącej do niego ulicy Kolejowej, dzisiejszej Czernikowa.

Otóż przed I wojną światową przy tej ulicy, obok której ciągnęła się na długości około kilometra wysadzana kasztanami aleja, znajdowało się niewiele domów mieszkalnych. Stały tam kryta wojskowa ujeżdżalnia koni (przebudowana w 1930 r. na szkołę), koszary 6 pułku Huzarów, cerkiew prawosławna dla wojska, długie budynki stajenne, dom dla orkiestry i szereg budynków gospodarczych. Właściwie cała lewa strona ulicy, od obecnej ul. Z. Morawskiej do wylotu ul. Napoleońskiej, a nawet jeszcze dalej, to tereny użytkowane niemal wyłącznie przez wojsko. Nawet przy wspomnianej ul. Napoleońskiej mieścił się jeszcze szpitalik wojskowy, w późniejszych latach rozbudowany, gdzie obecnie jest Oddział Zakładny Szpitala Powiatowego.

Samo przedmieście Wólka to przede wszystkim stacja kolejowa i dworzec, a więc od tego obiektu wypada zacząć opis. W omawianym okresie dworzec kolejowy był dość obszerny i składał się z dwóch części. Strona zachodnia była stroną niemiecką, do której dochodziły pociągi idące przez Iławę z Niemiec, wschodnia zaś — rosyjską, przeznaczoną dla pociągów tzw. Kolei Nadwiślańskiej, a więc idących z głębi kraju od Warszawy. Pociągów bezpośrednich Rosja—Niemcy wówczas być nie mogło, ponieważ tory niemieckie, a więc i rozstaw osi parowozów i wagonów, były nieco węższe od rosyjskich. Dlatego też pasażerowie jadący np. z Warszawy do Działdowa zmuszeni byli opuszczać zajmowane wagony rosyjskie i przeszedłszy przez salę rewizyjną wsiadać do wagonów stojących po

stronie niemieckiej. Na dworcu wybudowanym w 1877 r. były dwie duże poczekalnie, sala rewizyjna oraz biura kolejowe, po jednej stronie niemieckie, po drugiej — rosyjskie. Była też duża sala bufetowa, a właściwie restauracja, gdzie można było w każdej chwili nie tylko dobrze zjeść, ale dostać nawet „szampana”. Tym to szampanem często raczyli się przedstawiciele handlowi niemieccy i rosyjscy, utrzymujący ze sobą ścisłe kontakty i tu na stacji granicznej, na gruncie niejako neutralnym, mogący się spotkać, aby omówić szczegóły i odpowiednio „oblać” (zawarte nie zawsze legalnie) transakcje handlowe, czy wreszcie ugościć tych urzędników celnych, z którymi pragnęli utrzymać dobre stosunki. Z bufetu korzystali również niekiedy podchmieleni oficerowie, którzy opuściwszy swój klub tu dopiero, pozbywszy się nie zawsze pożądaną starszyzny, mogli się zabawiać tak, jak im kazała ich „szeroka natura” i pozwalały napełnione rublami portfele. A warto wiedzieć, że butelka wina szampańskiego kosztowała wtedy 7¹/₂ rubla, zatem kilka butelek dla większego i rozbawionego towarzystwa to wydatek niekiedy przewyższający miesięczne uposażenie nieźle płatnego carskiego urzędnika.

Dworzec kolejowy z I wojny wyszedł jeszcze obronną ręką, choć częściowo uległ spaleni, ale prawdziwą klęską dla niego okazała się II wojna, w czasie której spłonął niemal doszczętnie.

Ulice Wólki poza Rynkiem miały charakter raczej wiejski i były zabudowane bardzo luźno i nieregularnie. Niewiele było tam sklepów, nie było również żadnych zakładów przemysłowych, tylko parowy młyn Bęcławski.

Wólkę zamieszkiwali głównie kolejarze, urzędnicy celni, trochę rzemieślników i rolników oraz przemytnicy, a wśród nich tzw. „łebkarze”. Przemysł polegał bowiem nie tylko na handlu towarami, ale również na przeprowadzaniu przez granicę osób, które z rozmaitych względów w sposób nielegalny chciały przedostać się z Rosji do Niemiec lub odwrotnie. Poważny odsetek udających się do Niemiec stanowili emigranci do Ameryki i ci młodzi ludzie, którzy za granicę uciekali przed poborem do wojska rosyjskiego.

Na Wólce była również jedna szkoła początkowa, zwana kolejową, gdyż przeznaczona była głównie dla dzieci kolejarzy. Budynek spłonął w czasie I wojny. W szkole był naturalnie jeden tylko nauczyciel — Bęcławski, zaś uczniów do niej, podobnie jak i do innych tego rodzaju szkółek, uczęszczało niewiele ponad 20. Wśród nich było też trochę dzieci rolników z samej Wólki i pobliskich wiosek.

Na tym kończę opis poszczególnych dzielnic i ulic dawnej Mławy i w skrótowym zarysie tego, co się działo w domach stojących przy tych ulicach; pozostaje jeszcze dodać kilka słów ogólnej charakterystyki mia-

sta i jego mieszkańców oraz źródeł ich utrzymania i warunków bytowania.

Mława w 1914 r. liczyła około 17 000 mieszkańców, w tym około 60% Polaków, około 30% Żydów i około 10% wojskowych i ich rodzin, a więc prawie samych Rosjan. Gdybyśmy chcieli ludność Mławy podzielić jeszcze według wyznań, to z owych 60% Polaków, a więc w lwiej części katolików, należałoby odliczyć kilka procent na ewangelików i inne wyznania. Wśród stałych mieszkańców miasta, a więc wyłączając wojsko, w poważnym stopniu przeważały kobiety, mniej więcej w stosunku 53 : 47.

Jeśli chodzi o podział mieszkańców według ich zamożności, co w pewnym stopniu odpowiadać może podziałowi na klasy społeczne, to najbliższy prawdy wydaje się podział następujący.

Do grupy najlepiej sytuowanych materialnie zaliczyć by można osoby żyjące z kapitału, właściciele większych nieruchomości, inteligencję pracującą, a więc wolne zawody (lekarze, adwokaci, notariusze) i poważniejszych urzędników, a wreszcie nielicznych właściciele zakładów przemysłowych i niektórych handlowych.

Była to grupa najmniej liczna, aczkolwiek w życiu miasta odgrywająca rolę najpoważniejszą.

Druga grupa to niżsi pracownicy umysłowi oraz mieszczenie, wśród których byli właściciele mniejszych nieruchomości, kupcy, pośrednicy handlowi, drobni przemysłowcy, właściciele warsztatów rzemieślniczych, rolnicy i ogrodnicy. Była to w mieście grupa najliczniejsza, i to zarówno w środowisku polskim, jak i żydowskim.

Wreszcie trzecia grupa to pracownicy najemni, zatrudnieni w zakładach rzemieślniczych i przemysłowych, robotnicy budowlani i niefachowi, wyjeżdżający co roku na roboty do Niemiec, służba domowa, dorożkarze, tragarze, przemytnicy, biedota. Stosunek tej trzeciej grupy do dwóch poprzednich nie był przychylny. Odgrywała tu rolę zazdrość z powodu złych warunków materialnych, w jakich sami zmuszeni byli żyć, a jednocześnie patrzeć, jak inni żyją dostatnio, a niekiedy pozwalają sobie nawet na „zbytki”.

W dziele Jana Malanowskiego pt. „Stosunki klasowe i różnice społeczne w mieście” znajdujemy informację zaczerpniętą ze Słownika Geograficznego, jakoby w pewnym okresie, oczywiście przed I wojną (dokładnej daty nie podano), poza 2 aptekami, 2 składami aptecznymi, 2 cukierniami i 2 hotelami znajdowało się w Mławie 150 sklepów, 4 handle suknem, 3 handle win i towarów kolonialnych, 1 sklep fabryki żyrdowskiej, 1 dom handlowy, 1 skład nasion oraz 28 szynków i 24 restauracje. Ze wszystkim tym można by się pogodzić, tylko dwie ostatnie pozycje wydają się grubo, bo przynajmniej kilkakrotnie przesadzone.

W każdym razie z tych liczb można wywnioskować, jak poważną grupę ludzi stanowiły w mieście osoby pracujące w handlu i z tego źródła czerpiące środki na utrzymanie swoich licznych niekiedy rodzin. Oczywiście stan ten z biegiem czasu, w miarę zmian zachodzących w życiu gospodarczym, również ulegał zmianom, w jakim jednak kierunku zmiany te następowały, trudno jest powiedzieć. Brak ku temu źródeł, a wyrażanie swych własnych na ten temat przypuszczeń czy poglądów wydaje się niebezpieczne.

Dalej. Z tego, co poprzednio powiedziano o szkołach, wynika, że w Mławie były w 1914 r. następujące zakłady naukowe: 7-klasowa Szkoła Handlowa (męska), również 7-klasowa Pensja Antoniny Mrozowskiej (żeńską), 2-klasowa szkoła powszechna, 6 szkół początkowych — powszechnych i kilka chederów. W szkołach tych było łącznie dwudziestu paru nauczycieli (niektórzy wykładali w obu szkołach średnich), a uczniów razem niespełna 500. Obecnie w Mławie jest około 300 nauczycieli i ponad 6000 uczniów. Do szkół średnich uczęszczała przeważnie młodzież rodziców zamożniejszych, w poważnej części zamiejscowych, zaś do szkół początkujących niemal wyłącznie dzieci z miasta, obecnie zaś tylko do szkół podstawowych uczęszczają prawie wyłącznie dzieci mieszczan, natomiast w szkołach średnich i zawodowych przeważa młodzież wiejska.

Wreszcie pod względem politycznym gros ówczesnych mławian stanowili w społeczeństwie polskim bogoojczyźniani patrioci spod znaku Narodowej Demokracji, a w społeczeństwie żydowskim żywiły zachowawcze, głównie syjoniści. Ale nie można powiedzieć, aby wśród tych grup nie było również ludzi postępowych, radykałów, demokratów. Że wymienimy tu takie nazwiska, jak Zygmunta Sułkowskiego, Jana Zakrzewskiego, Antoniego Strępskiego, Edmunda Prejsa, Bielskiego, Nowosielskiego. Świadczy o tym również fakt, że nawet wśród młodzieży szkolnej istniało kilka organizacji, oczywiście tajnych, o rozmaitych zabarwieniach politycznych. I tak najliczniejszą i najwcześniejszą, bo około 1909 r., powstała była Organizacja Młodzieży Narodowej, uważająca za swój główny cel szeroko rozumiane dobro narodu, do którego można dążyć niekoniecznie przez odzyskanie niepodległości, ale nawet przez prowadzenie polityki ugodowej, idąc na kompromisy z zaborcami. Drugą organizacją było tzw. „Zarzewie”, którego głównym celem było odzyskanie niepodległości, z tym że dopiero po osiągnięciu tego zasadniczego celu można będzie mówić o tym, jaka ma być ta odzyskana, niepodległa Polska. Wreszcie trzecią organizacją, najmniej liczną, była organizacja tzw. postępowo-niepodległościowa, wyraźnie sympatyzująca z socjalizmem i szerząca jego idee.

W społeczeństwie żydowskim najliczniejsi byli sympatycy kierunku zachowawczego (syjoniści), aczkolwiek i tu, szczególnie wśród biedoty,

niekiedy znajdowali posłuch ludzie zbliżeni do „Bundu”, „Poalej-Syjonu”, a nawet do komunizmu.

Oto więc cała moja opowieść o tym, jak wyglądała Mława pięćdziesiąt kilka lat temu i jak toczyło się wówczas życie kilkunastotysięcznej rzeszy mławian. Wiem, że nie jest pełna, że brak w niej wielu szczegółów i konkretnych danych, opartych nie tylko na osobistych wspomnieniach i wrażeniach, lecz na dokumentach i wynikach badań. Ponieważ jednak nie miałem dostępu do żadnych materiałów, a poza tym nie stać mnie na poważne dzieło naukowe, przeto niechaj mi wolno będzie podzielić się tym, „czym chata bogata...”